

że Józia nie tonie w różowych snach, nie uśmiecha się do miłych wspomnień i nie podziwia odbicia własnej urody w lustrze.

Zobaczyłaby, że młoda kobieta, nie zmieniawszy nawet ubrania, klęka i... modli się...

Modli się tak gorąco, że drżą poblądłe jej wargi, głowa chyli się nisko ku piersiom, a po policzkach spływają krople łez.

Józia wróciła do domu zdenerwowana, rozstrojona, miotana wewnętrznym niepokojem i niezadowolaniem.

Z przyczyn tego nie zdawała sobie jasno sprawy, czuła tylko, że jej coś dolega i że jest zła na siebie za dzisiejszy spacer.

Dlaczego?... Na to nie umiałaby sobie sama odpowiedzieć.

Nic się przecież właściwie nie stało, nic się nie zmieniło. A jednak... Głuchy niepokój nurtuje, niezadowolenie wzrasta...

I jest Józia na sercu tak, jak jej bywało wtedy, kiedy jako dziewczynka mała zbroiła coś, czego później serdecznie żałowała.

Przygotowana była, wracając, na awanturę. Spodobała się wymówek, przycinków, obelg nawet.

Byłaby je przyjęła pokornie – bez słowa, cicha i skruszona.

Tymczasem pani Żarnicka wbrew wszelkim oczekiwaniom zachowała się bardzo spokojnie.

Kiedy synowa weszła do przedpokoju, obejrzała ją od głowy do stóp i nieokreślonym tonem rzuciła:

– A jesteście nareszcie.

– Tylko tyle.

Strasznie się Józia zrobiło nieswojsko. Chwyliło ją przecucie czegoś gorszego.

Wolałaby najbrutalniejszą awanturę, niż tę pogardliwą, niezwykłą tolerancję...

– Kiedy indziej za byle głupstwo wymyśla mi, a dzisiaj... Naprawdę przecież trochę zapóźno wróciłam... I zresztą cały ten spacer... A ona nic... Co to znaczy?...

Joasia przyniosła „młodszej” pani kolację do jej pokoju, ale Józia nawet nie tknęła jedzenia.

Pomimo, że tyle godzin spędziła na świeżym powietrzu, wśród ruchu, nie miała wcale apetytu.

Coś ją ścisnęło pod sercem i w gardle.

Rzuciła na stół niedbale kapelusz i przywiedle kwiaty.

Nerwowym krokiem zaczęła chodzić po pokoju.

Po chwili zatrzymała się przed biurkiem, na którym stała duża, gabinetowa fotografia Konrada.

Z oczu Józia trysnął gorący, złoty promień.

Pochwyciła fotografię i przycisnęła rozpalone usta do chłodnego szkła, osłaniającego karton.

– Mój... mój... najlepszy... złoty... jedyny... On... tylko on... jestem podła... zła... głupia... Żarnicka ma rację... Lola ma rację... Nic nie jestem warta!... Boże mój! Boże!...

Gdyby w tej chwili zapytał ktoś Józję, o co się właściwie obwinia, nie zdołałaby tego określić słowami.

Rozplakałaby się pewno tylko.

Nic złego nie zrobiła, a jednak serce mówiło, że w jej życie wplątało się coś, co wplątać się nie powinno...

Przycisnęła fotografię męża do piersi, do serca, które uderzało mocno i prędko.

I tylko to wiedziała, że kocha Konrada nad wszystkich i nad wszystko...

Ze tak, jak wówczas, przed rokiem, gotowa za nim iść pieszo w burzliwą noc – na dole niepewną, bez jutra, bez przyszłości...

A jednak... a jednak...

Postawiła fotografię szybko na biurku, bo zdało się jej, że ją zapiekła ręka, jak przy pożegnaniu uścisku Łuniewskiego.

Jakby posłyszala znowu jego słowa, wypowiedziane cicho, dziwnie przejmującym tonem:

– Pani Józio, kiedy się znowu zobaczymy?...

Odpowiedziała:

– Nie wiem... – a czuła teraz, że należało powiedzieć: – Nigdy!...

Wstrząsnął nią nagły gniew.

– Czego on chce odemnie? Czego się czepia? Bo, że łąził dzisiaj za mną, to więcej niż pewne! No, damże ja mu, jak go tylko jeszcze raz spotkam, niby to „przypadkiem”...

Chciała się już rozbierać, chciała wyjąć broszkę z kołnierzyka i zadrasnąć rękę o kolce przypiętych do bluzki polnych róż.

Sarpnęła bukiecik i rzuciła go na ziemię...

Płatki róż rozsypały się u stóp młodej kobiety, jak różowe, martwe motyle...

Józia zrobiło się żal zniszczonych kwiatów.

– Co one winne?

Pochyliła się i podniosła jedną różę, która zachowała jeszcze w całości koronę płatków.

Kładąc kwiat do wody, do małego, kryształowego flakonika, pomyślała:

– I co on właściwie winien? Cóż złego zrobił?... Był dla mnie taki dobry, taki troskliwy... Nie zawahał się wyrzucić tyle pieniędzy, żebym ja się tylko nie przeziębiła!

Józję opuścił już gniew. Była tylko smutna i nie mogła jakoś uspokoić się w swojej wewnętrznej rozterce.

Podniosła oczy ku górze.

Nad łóżkiem młodej kobiety jaśniała słodka, cudna twarz Madonny Sykstyńskiej.

Poniżej, ujęta w proste, dębowe ramki, wisiała fotografia małej Józiny, na kilka miesięcy przed jej śmiercią robiona.

Bardzo smutne, cierpiące, dobre, łagodne oczy, zakłęte w martwy kawałek papieru, spoglądały nieruchomo na córkę.

Józia osunęła się na kolana i wzrokiem przez łyzy zamglonym wpatrzyła się naprzód w obraz Matki Bożej, a potem w fotografię.

Z serca i z ust jej popłynęły słowa gorącej, szczerzej modlitwy:

– O Matko Bosko! Panienko przeczysła!... Najlepsza... miłosierna... zlituj się nademną i na dobrą naprowadź mnie drogę! Nie pozwól mi błądzić... nie pozwól mi być złą... O! Boże, miej zmiłowanie... I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego... I ty, mammo moja, moja własna, rodzona, zstąp do mnie z nieba... Pociesz mnie, poradź, dopomóż! Bo nie wiem, jak mam żyć, gdzie iść, co czynić?... Mammo, opuściłaś mnie tak wcześnie, a mnie źle na świecie... Nie rozumiem sama siebie, a nie mam nikogo, coby mi do serca kochającym wzrokiem zajrzał... Mammo! Słaba jestem, ale nie chcę być złą... Nie chcę!... O mammo!... Prowadź, podtrzymuj... dopomóż!...

## ROZDZIAŁ XII.

– Aron Gelbfisz, skład różnych towarów – przeczytała Józia szyld.

– Aha, to tutaj.

Chwilę zawahała się, zanim wstąpiła na wyszczerbione schodki. Trudno było jednak stać na ulicy i namyślać się.

Zrezygnowana, pchnęła drzwi i wsunęła się w mroczne wnętrza sklepiku, ściskając w dłoni pudełeczko, owinięte bibułą.

Młoda kobieta odetchnęła lżej, widząc, że w sklepie niema nikogo oprócz żyda z długą siwą brodą w jarmulce, w którym domyśliła się właściciela.

Gelbfisz na widok Józii podniósł się z wolna. Poznał synową Żarnickiej i zdziwił się, bo pani Żarnicka zwykle nic u niego nie kupowała.

W każdym razie jednak była to osoba, z którą liczyć się należało. To też żyd ukłonił się bardzo grzecznie i uprzejmie zapytał:

– Wielmożna pani sobie życzy?...

Józia ogniste rumieńce biły do twarzy. Gnioła w rękę bezradnie swoje pudełeczko i przez chwilę nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

– Ja... ja... mam do pana interes... – wyjąkała wreszcie.

– Interes?... jaki interes?...

Józia wyciągnęła ku niemu rękę.

– Słyszałam, że pan... ja chciałam to założyć... stawić...

Wyraz zdumienia odmalował się w wypukłych oczach sklepikarza. Jakby nie dowierzając własnemu słuchowi, zapytał znowu:

– Co?... jak?... Zastawić?...

– Tak! – odpowiedziała cicho młoda pani Żarnicka – To jest broszka, którą chciałam zastawić...

Pod swym zarostem wąskie wargi Gelbfisza drgnęły ironicznym uśmiechem. Żyd zakłócił głową na obie strony, jak gdyby chciał powiedzieć: no!... no!...

– Zastawić... – wyrzekł po chwili trochę już lekceważącym tonem – Nu... Ja nie mam żaden lombard... Tak przez grzeczność, to ja mogę komu wygodzić...

– Więc...

– Ja takie interesy nie robię w sklepie... Z taki interes to się idzie od tyłu... Nu, niech pani idzie za mną... Zobaczymy tego zastawu czy un co wart, czy ja na niego mogę co dać...

Weszli za perkalową firankę, do pokoju w którym teraz Reginka czesała przed nadfalconem lustrem swoje czarne włosy i usiłowała ułożyć z nich kunsztowną, prefensjonalną „fryzurę”.

Ogniste, czarne, o niebieskawych białkach oczy Gelbfiszówny spotkały się z cudnymi źrenicami Józii.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona, a Józia zarumieniła się jeszcze mocniej, zakłopotana obecnością tego nowego świadka swego upokorzenia.

– To moja córka – powiedział Gelbfisz – ja dla niej nie mam żaden sekret... Pokaż pani tego zastawu...

Reginka przestała się czesać. Grzebień oplątany pasmami wyczesanych włosów położyła na stole obok talerza z kiszonym ogórkiem i podpartszy brodę rękami przypatrywała się ciekawie zmieszanej, zarumienionej młodej mężatce.

Wiedziała równie jak ojciec, kto to jest, podziwiała nieraz piękność Józii i była teraz niepomrotnie zdumiona.

Młoda pani Żarnicka przychodzi pożywać pieniędzy na zastaw od jej ojca...

Dlaczego?...

Przypominały się Regince jakieś strzępy opowiadań o małżeństwie Konrada Żarnickiego, o którym przez tydzień rozprawiły nawet wszystkie przekupki łukowskie.

Z tem większą więc ciekawością obserwowała Reginka beceremonialnie młodą kobietę.

Gelbfisz wziął z drżącej ręki Józii pudełko, otworzył je i wyjął broszkę.

Przez długą chwilę oglądał klejnocik uważnie, krytycznym wzrokiem.

Spojrzał na próbę złota, ocenił piękność i wielkość perełek i turkusów i potarł broszkę o rękaw swego brudnego chałata.

Józia stała przed nim ze spuszczoną głową. Żydowi podobała się broszka, ale zrobił pogardliwą minę.

– Nu, co to warte?... Nic...

– jakto nic?...

– Tak, jak nic... Co ja na to mogę dać?... Najwięcej – to już dziesięć korony...

Józia na wartości klejnotu nie znała się, zrozumiała jednak, że żyd broszkę za nisko ocenia.

Przyszły jej zresztą na myśl ostrzeżenia Larchówny... Postanowiła, że nie da się „obedrzeć”. Wyciągnęła energicznie rękę:

– Niech pan odda... To za mało, nie zastawię...

W głębi duszy drżała wszakże z obawy, że żyd rzeczywiście nie zechce dobić interesu...

Bo skądże weźmie pieniędzy?... Wydała już wczoraj ostatnią „szóstkę”.

Ale Gelbfisz broszki nie oddawał.

– Co się pani potrzebuje tak spieszyć?... Nu, niech będzie moje ryzyko... ja dam piętnaszcze.

– I to za mało...

– Więcej nie mogę, na moje sumienie, nie mogę... Pani tyle nikt inny nie da... Bierze pani piętnaszcze?... No?...

Młoda kobieta walczyła ze sobą. Wziąć, czy nie wziąć?... Pieniądze były jej tak bardzo potrzebne...

Reginka nie odwracała oczu od twarzy Józii.

– Tę! Gib jer mer!... – odezwiała się nagle dziewczyna.

Gelbfisz ze zdziwieniem popatrzył na córkę. Jeszcze mu się to nie zdarzyło, aby go Reginka nakłaniała do jakichś ustępstw w interesach pieniężnych.

Okazywała ona zawsze pod tym względem nieporównaną twardość, chciwość i nieustępliwość.

Niedarmo ojciec uważał ją za swoją prawą rękę i mówił o niej z rozculeniem „a kiepele”.

Taraz więc przyszło mu na myśl, że może broszka ma większą wartość, niż on osądził, i że Reginka poznała się na tem.

W każdym razie jednak po co dawać więcej, jeżeli widocznym jest, że ta głupia „siksa” weźmie i piętnaszcze.

– Mer?... – zapytał – Wus sagste Reginke?...

Nie podejrzewał ani na chwilę, że dziewczyną kieruje coś innego niż chęć zysku...

(Ciąg dalszy nastąpi.)